

Księga wyjścia – 4

29 marca 2019

Ballada o trzech obrazach

Zrobiłem jedną z głupszych rzeczy. Zobowiązałem się, że będę już omijał temat uzależnień. Trudno jednak całkowicie go przemilczeć, gdy zamiarem jest pisanie o trzeźwieniu. Nawet w komentarzach, które piszecie pod felietonami, życząc mi wytrwałości, siły, zachęcając do walki, zawsze temat nałogów gdzieś się przewinie. Trudno prowadzić walkę milcząc o wrogu. Możemy jednak pozostawić go w cieniu, gdzieś na trzecim planie, bo głównym bohaterem jest walka, czyli trzeźwienie – wieczna droga. A celem każdego wagabundy jest właśnie droga.



Według jednej z teorii Heraklita o jedności przeciwieństw, droga w dół i w górę jest jedna. Trudno nie przyznać mu racji, tyle że w dół się spada, można się też sturlać, do góry jest gorzej. I nie chodzi już o niedogodności wspinaczki, tylko labirynt, którego nie widać podczas zejścia. Ale dość tych metafor.

Od kiedy wyszedłem ze szpitala moje dni wyglądają jednakowo, taka kalka. Wpadłem w rytm monotonii i o dziwo zaczęło mi się

to podobać. Odkrywam coś, o czym dawno już zapomniałem – powtarzalny spokój.

Ta przewidywalność zwyczajnie mnie zachwyciła. Zatrzymałem się na chwilę i łapię oddech. Zaczynam dzień od kawy i suboxonu, potem śniadanie i koniecznie budyń. Wiem, że brzmi to idiotycznie, ale naprawdę zacząłem jeść śniadania i całkiem na poważnie rozważam zakup kapci. Już nie chodzi o wygodę, ale pewien symbol.

Potem jadę do Kazimierza przygotować się do nadchodzącego sezonu. O tej porze roku miasteczko świeci pustkami, mam więc czas, by ponownie wdrożyć się w sprzedaż obrazów i rzeźb. W stałym rytmie i bez pośpiechu. Wyjątkiem jest jedynie środa, to ostatni dzień kiedy powinienem napisać felieton. Najpóźniej w czwartek muszę go wysłać do redakcji. Wzrasta wtedy adrenalina, harmonijnie uporządkowane myśli nagle znikają i za każdym razem mam w głowie chaos. W tym fachu doświadczenie się nie sumuje, każdy tekst jest pierwszy – to słowa Ryszarda Kapuścińskiego – bardzo prawdziwe, jeśli się pisze naprawdę, nie zaś kalką schematyczną, lub za pomocą funkcji kopiuj – wklej, zmieniając jedynie drobne szczegóły.

Michał Anioł Buonarroti powiedział: „rzeźba jest w kamieniu, wystarczy odrzucić to, co zbędne”. Z pisanem tekstów jest dokładnie tak samo. Jediną różnicą jest brak owego kamienia i tu trzeba wyręczyć naturę, samemu tworząc ten „kamień”. Czyli przelać na papier wszystko co wydaje się ważne, a potem wystarczy odrzucić to co się jedynie wydawało ważne. Istotne, by odróżnić jedno od drugiego. Skojarzenie pisanie tekstów z rzeźbą nie jest przypadkowe, w ten sposób płynnie przejdę do mojego nowego zajęcia, czyli handlu sztuką w Kazimierzu Dolnym.

W poprzednim odcinku dosyć szczegółowo opisałem dlaczego i skąd ten wybór. W każdym razie nie bacząc na idiotyczną mądrość ludową, że nie wchodzi się dwukrotnie do tej samej rzeki – nie będę rozpisywał się o Heraklicie i właściwym

sensie, przerobionej na głupie przysłowie jego sentencji, ponownie i z pełną premedytacją wkroczyłem dokładnie do tej samej rzeki – metaforycznie oczywiście. Opowiem Wam jak wyglądała ta „kąpiel” za pierwszym razem. Czyli osiemnaście lat temu.

Podobnie jak teraz, nie mając pomysłu na życie postanowiłem zrobić eksperyment i spróbować sprzedawać rzeźby i obrazy. Byłem totalnie spłukany i każdy kto miał sto złotych, wydawał mi się bogaczem, dlatego trudno było uwierzyć, że są ludzie, którzy potrafią wydać kilkaset lub kilka tysięcy złotych żeby kupić obraz.

Bez specjalnego przekonania zrobiłem niewielki stelaż i postanowiłem rozstawić się z nim na Dużym Rynku. Sprzedających było wówczas wielu i wcale nie było łatwo się wcisnąć. Przydały się dosyć twarde łokcie, które wtedy jeszcze dosyć nieźle sobie radziły i tym sposobem umieściłem swoją skromną ekspozycję pomiędzy całą masą innych obrazów. Kilkudziesięciu malarzy, setki obrazów i ja ze skromnym stojakiem, na którym miałem ich chyba osiem i ze trzy rzeźby.

Pierwsze tygodnie nie napawały optymizmem, od czasu do czasu udało się coś sprzedać, kasa ta jednak szła na placowe i wszelkie koszty związane z moim przedsięwzięciem. Ale przynajmniej zacząłem jakoś trwać, teraz szło o to, by przetrwać. Zastanawiałem się jak to jest, że niektórzy sprzedają obrazy niemalże jak świeże bułki, a ja ledwo wyrabiam na koszty. Rozumiałem całą złożoność i specyfikę tej branży, niejednokrotnie słyszałem pytanie: a ten widoczek, to ręcznie malowany? Dlatego nie byłem zdziwiony, że beznadziejne – według mnie oczywiście – landszafty cieszą się powodzeniem. Wydawało mi się to jednak nieproporcjonalne i nie mówię o sobie, bo było wówczas na Rynku bardzo wielu świetnych malarzy, którzy przegrywali z czymś w rodzaju dawnej fototapety niechlujnie wsadzonej w ramy. Siedziałem tak na prażącym słońcu od rana do nocy i cieszyłem się, gdy przynajmniej ktokolwiek podszedł i zainteresował się tym co

sprzedawałem. Latem Rynek zamienia się w rozgrzaną patelnię, bez odrobiny cienia.

Prażące niemiłosiernie promienie słoneczne, nagle mnie oświeciły: przecież ci co sprzedają, to zwykli, doświadczeni handlarze, którzy potrafią dobrać miejsce i odpowiednio wyeksponować towar. Postanowiłem ich przebić, pewnego dnia przyjechałem jeszcze przed świtem, zaopatrzony w niezbędne narzędzia i w kilkadziesiąt minut z przygotowanych wcześniej listew zmontowałem największy w historii rynkowego handlu, stelaż. Był tak duży, że nie mogłem przywieźć gotowego, tylko musiałem zbudować go na miejscu. Miałem już ze sobą nie kilka, a kilkadziesiąt obrazów. Pamiętam wściekłość innych sprzedawców i malarzy, gdy zobaczyli moją konstrukcję, której już nie można było nazwać stelażem. Uśmiechem kwitowałem „dobre” rady typu, że wiatr będzie mi zrzucał obrazy, że na pewno zapłacę potrójne placowe itp. Chciałem im zrobić psikusa i się udało.

Wciąż specjalnie nie dawałem wiary w sens i powodzenie tego co robię, ale nie miałem innego zajęcia. Nie mogłem wiedzieć, że będzie to moment zwrotny, zarówno w moim myśleniu, jak i dalszej działalności na tej niwie.

Gdy tylko Kazimierz zaczął się budzić i pojawili pierwsi turyści, wokół mojego stoiska zaczął gromadzić się tłum. Byli to na razie jednak tylko „ogładcze”, ale już sam fakt, świadczył, że odniosłem jakiś tam sukces. Wszystko co się wydarzyło później zupełnie odmieniło moje spojrzenie na ten rodzaj działalności. Podszedł do mnie niepozorny mężczyzna, wskazał na obraz i zapytał o cenę – pięćset złotych odpowiedziałem – A ten? Zapytał wskazując na drugi – trzysta rzuciłem sądząc, że gość chce tylko poznać ceny, albo szuka taniej pamiątki z Kazimierza. Chwilę się przyglądał i zapytał o jeszcze jeden, akurat z tych droższych – siedemset odrzekłem bez większego entuzjazmu i pomyślałem, że już przegina. Szczeka mi opadła, gdy powiedział – to te trzy poproszę. Pakowałem drżącymi rękami, nie mogłem uwierzyć w tak udaną

transakcję. To był właśnie ten przełom.

To nieprawdopodobne, jak dużo zawdzięczam gigantycznej konstrukcji i odpowiedniej ekspozycji. Nie pamiętam czy tego dnia sprzedałem coś jeszcze, czy już nie – być może – ale ten mężczyzna zapadł mi w pamięć do dzisiaj (minęło osiemnaście lat). Uwierzyłem wtedy, że da się na tym zarobić, że są ludzie, których stać na obrazy i że potrafię im je sprzedać.

Dotychczas, podobnie jak inni rozstawiałem się na Rynku jedynie w weekendy, ale ponieważ od poniedziałku do piątku również nie miałem zajęcia, poza opieką nad szczeniakiem, którego kupiłem od znajomego miłośnika taniego wina za butelkę tegoż, zacząłem jeździć z obrazami codziennie. Pies oczywiście wiernie jeździł ze mną. Kolejne odkrycie i kolejne zdziwienie – nie tylko weekendy, ale i w powszednie dni sprzedawałem obrazy. Wprawdzie ludzi było znacznie mniej, ale sprzedaż większa. Dopiero później odkryłem, że ci co przyjeżdżają kupić obraz, unikają tłumów.

Tamte złote czasy już minęły, obrazy sprzedają się znacznie gorzej, ale zapotrzebowanie wciąż istnieje. Wchodząc ponownie do tej samej rzeki, miałem przygotowaną już łódkę w postaci doświadczenia i galerię, którą udało mi się osiemnaście lat temu wynająć. Całe szczęście, że ojcu chciało się ją prowadzić, gdy ponownie ruszyłem w świat. Ale on też jest uparty i choć bywały lata, że musiał do tego dokładać, to przetrwał ten trudny okres. Obrazy to towar luksusowy i stan zamożności społeczeństwa ma ogromny wpływ na obroty wszystkich kazimierskich galerii. Niezależnie od koniunktury, obrazy zawsze cieszyły się większą popularnością niż rzeźby.

Osobiście zamiast pędzla wolałem dłuto, a wszystko to za sprawą jednego człowieka, którego poznałem jeszcze w dzieciństwie.

W niewielkiej, dwuizbowej chatce, która jeszcze w latach osiemdziesiątych znajdowała się na rubieżach Puław,

zainstalował się pewien artysta. Ludwik Sandecki – genialny, lecz nigdy nieodkryty rzeźbiarz Nawet w Internecie nie można znaleźć o nim żadnej wzmianki (jest ktoś o tym samym imieniu i nazwisku i także rzeźbiarz, ale ze Szczecina).

Chcąc się czegoś o nim dowiedzieć, trzeba poszukać wśród prac dyplomowych studentów różnych uczelni plastycznych, lub przeczytać następny odcinek „Księgi wyjścia”. To właśnie u niego stawiałem pierwsze kroki i poznawałem tajniki rzeźby, on wszczepił mi sentyment do drewna. Będąc jeszcze w podstawówce biegałem tam, siadałem naprzeciwko i zabierałem się za pracę. Gdy widział, że jestem bliski odcięcia sobie palca lub ręki, interweniował, gdy pokazywałem mu „skończoną” rzeźbę, on brał ją do ręki i zawsze znalazł całą masę tego, co należy odrzucić. W kilku ruchach, z siermiężnego „dzieła” ucznia, potrafił zrobić prawdziwe dzieło mistrza. Od komercyjnego włóczęgi, po wysublimowane formy z wyeksponowanym słojem. Ludwik był artystą przez duże ART.

Wraz z rozwojem miasta, jego kurna chata znalazła się nagle w ścisłym centrum. Wyglądała trochę jak skansen wciśnięty pomiędzy luksusowe rezydencje. Przegrała jednak z rosnącą ceną gruntów i atrakcyjnością miejsca. Ludwik zmarł na raka kilka lat po tym jak z jego „oazy” zrobiono willę.

Co ten tekst ma wspólnego z zapowiadany trzeźwieniem? Samo pisanie już spełnia te kryteria.

Autorstwo: Piotr jastrzębski

Źródło: Trybuna.info